

JEAN URE

TANIEC ZE ŚMIERCIA

Z angielskiego przełożyła Elżbieta Zawadowska - Kittel

ROZDZIAŁ 1

KOLEJNY ATAK RZEŹNIKA

Jak można się było spodziewać, przystępując do czytania paryskiego brukowca, artykuł napisano po francusku, a moja znajomość języka Galów pozostawała wiele do życzenia. Znałam jedynie słownictwo związane z baletem - *fondue, battement, croises en arriere*, i całą resztę, czyli dokładnie terminologię plume de ma tante. Mimo to nawet ja zdołałam przetłumaczyć krzyczący nagłówek z pierwszej strony „France Soir” W LASKU BULOŃSKFM ODNALEZIONO JESZCZE JEDNO CIAŁO.

Moja krew uczyniła dokładnie to, co się o niej mówi w takich sytuacjach, sytuacjach mianowicie zastygła mi w żyłach. A w każdym razie dostałem gęziej skórki i poczułam, że dłonie mam lepkie od potu.

Claire! - pomyślałam. - Czy to aby nie chodzi o Claire?

Claire to moja siostra bliźniaczka, różniąca się ode mnie jedynie czerwonym znaniem w pewnym intymnym miejscu. Znamię, którego ja na szczęście (tańczę w balecie) nie mam. I choć jesteśmy bardzo do siebie podobne, nigdy nie łączyły nas więzi rzekomo tak typowe dla bliźniaków.

- Powinniście się kochać - jęczała mama, kiedy jako mała dziewczynka próbowałam wydrapać Claire oczy, a ona w rewanżu robiła co mogła, by wtłoczyć mi zęby do gardła. Mimo to bardzo nie chciałam, by moją drugą połówkę znalezioną martwą w jakimś francuskim rowie.

W jaki właściwie sposób zrodził się ten koszmar? Dlaczego w ogóle przyszło mi do głowy, że zamordowaną z Lasku jest moja siostra?

A wszystko zaczęło się tak wspaniale! Drżałam z podniecenia na myśl o wyprawie do Paryża! Miałam zaledwie siedemnaście lat i była jedynie szeregową członkinią zespołu, ale za to jak wspaniałego zespołu! „Barbican” należał do najwybitniejszych brytyjskich baletów. A mój ukochany Jean - Guy, pierwszy tancerz „Barbicanu” przyrzekł w dodatku mamie, że podczas mojego pierwszego zagranicznego tournée otoczy mnie opieką. Protestowałam - rzecz jasna - twierdząc, że jest to zupełnie zbyteczne.

- Dam sobie radę, zamieszkać przecież u Claire - tłumaczyłam trochę bez przekonania.

Odkąd mogłam sięgnąć pamięcią, czciłam ziemię, po której stapał Jean - Guy. (Claire natomiast traktowała go wyjątkowo obojętnie - ona jest przecież taka rozsądna. Poza tym siostra nigdy nie marzyła o tym, by zostać tancerką.) Jean - Guy, starszy od nas o pięć lat, to

syn najlepszej przyjaciółki mamy z czasów, gdy obie zarabiałały na życie, tańcząc kankana w paryskim klubie. Tak, więc gdy Jean - Guy oświadczył stanowczo, że nie rezerwuje hotelu w pobliżu Pól Elizejskich, wzorem reszty gwiazd, tylko gdzieś w pobliżu mieszkania Claire w Neuilly, mama stwierdziła, że odetchnie z ulgą.

- Vicky w niczym nie przypomina Claire. Jest taka roztrzepana. Z kim miałam polemizować? I po co?

Pamiętam, jak siedziałam w samolocie w drodze na paryskie lotnisko Charles'a de Gaulle'a (Jean - Guy dotarł na miejsce przede mną), chłopcy grali w pokera, a Macia Stanforth nie spuszczała z nich wzroku. Pamiętam, jak myślałam, że oto ja, Victoria Master, członkini znanego zespołu baletowego, lecę samolotem do Paryża, tak daleko od domu. Któż mógł wtedy przewidzieć, co mnie tam czeka?

Siedząca obok mnie Camen Janigro przeglądała album z fotografiami ze znanych przedstawień baletowych. Przed oczyma miała właśnie podwójną stronę ze zdjęciami Jean - Guy w różnych wcieleniach: od szlachetnego, romantycznego bohatera w Sylfiadzie do dzikiego, egzotycznego, awanturnika w Korsarzu. Camen wpatrywała się przez chwilę w fotosy, a ją podążałam za jej wzrokiem. Może dlatego nie dosłyszaliśmy lekkiego westchnienia.

- On ci się na nic nie przyda.

- Słucham? - Podskoczyłam lekko na siedzeniu. Autorką tych słów okazała się Marcia, również baletnica z „Barbcanu”, tylko że o nieco dłuższym stażu niż ja.

- Mówiłam - wskazała na Jean - Guy - że on ci się na nic nie przyda. Nie rób sobie żadnych nadziei. Ten facet nawet na ciebie nie spojrzy.

- Pewnie nie - odparłam, siląc się na swobodny, rozbawiony ton. - Taka gwiazda nie będzie sobie przecież zawracać głowy początkującą baletnicą.

- To się jednak czasem zdarza. Aż byś się zdziwiła... - powiedziała Marcia z uśmiechem. - Oczywiście, jeśli ci panowie lubią kobiety. A Jean - Guy chyba za nimi nie przepada, gąsko.

- Ach! - Roześmiałam się lekko i swobodnie. - O tym wiem.

W rzeczywistości taka myśl nigdy mi nawet nie przyszła do głowy i Marcia sprawiła, że przeżyłam niezły szok. Oczywiście wielu tancerzy ma nietypowe upodobanie seksualne i wszyscy to akceptują. Ale Jean - Guy! Jean - Guy, do którego wzdychałam od czasów, gdy ledwo od ziemi odrosłam?

- Co za szkoda, prawda? - westchnęła smętnie Carmen.

Odkryła Amerykę, rzeczywiście! Zaczęłam się zastanawiać, czy ciocia Vi (tak właśnie

nazywamy przyjaciółką mamy, choć nie łączą nas żadne pokrewieństwo, a Vi to zdrobnienie od Violetty nie Fiolet, gdyż ciocia jest pół Rosjanką, pół Angielką) zdaje sobie sprawę z skłonności swojego jedyne i ukochanego potomka. Może zresztą ciocia zupełnie by się tym nie przejęła, uchodzi bowiem za osobę o wyjątkowo liberalnych poglądach. Sama poślubiła Francuza, artystę cyrkowego ćwiczącego na trapezie, trapezie objechała w jego towarzystwie cały świat, aż pewnego pięknego dnia mąż cioci porzucił ją dla koleżanki z trupy. Vi zrezygnowała natychmiast z show - businessu i zaczęła prowadzić pensjonat w południowej Francji.

W porównaniu z Vi mama prowadziła bardzo spokojne, uporządkowane życie. Wcześniej zrezygnowała z kankana poślubiając księgowego, po czym wydała na świat mnie i Claire. Od tamtej pory mieszka w Cricklewood, a Cricklewood „takie rzeczy” zdarzają się dość rzadko. Ja w każdym razie nigdy o czymś podobnym nie słyszałam. Gdyby mama dowiedziała się o Jean - Guy, na pewno bardzo by się zmartwiła. Bardzo, ale nawet połowie nie tak jak ja! Sądzę, że Jean - Guy stanowił naprawdę ucieleśnienie marzeń każdej młodej dziewczyny (z wyjątkiem tych rozsądnych w typie Claire). Trudno go oczywiście zaliczyć do supermenów, choć jest całkiem niezłe zbudowany. Baletmistrze muszą mieć trochę ciała, by podnosić bez trudu umięśnione baleriny, a Jean - Guy - jak napisał jeden z krytyków - odznacza się wyjątkowo piękną sylwetką. Jako Książę Zygfryd albo Albrecht naprawdę zapiera dech. Jean - Guy prezentuje się zresztą równie dobrze poza sceną, w starych dżinsach i podkoszulku. Ma wspaniałe, błyszczące, kruczoczarne włosy (moje są dla odmiany rude i stanowczo za bardzo kręcone), a co najważniejsze odznacza się wyrazistymi, ostrymi rysami twarzy. Wszyscy tancerze marzą o takich rysach. W świetle reflektorów okrągłe buzie prezentują się znacznie gorzej. Ja i Claire jako małe dziewczynki miałyśmy właśnie takie dziecięce pućki, ale na szczęście potem nasze twarze przybrały kształt serca. Tak więc dzięki dużym niebieskim oczom i ostro zarysowanemu podbródkowi prezentujemy się całkiem niezłe. Jean - Guy ma natomiast całkiem kwadratową, trochę boksyerską szczękę.

Co za strata! Jaka okropna strata! Z drugiej strony byłam jednak bardzo zadowolona, że Marcia mnie ostrzegła. Nie należę do entuzjastek nieodwzajemnionej miłości. Wtedy w samolocie przysięgłam sobie solennie, że od tej chwili będę traktowała Jean - Guy jak brata, którego nigdy nie miałam. Teraz, gdy wreszcie przeanalizowałam sytuację, pojęłam, że on odnosił się do mnie zawsze jak do młodszej siostrzyczki. A moje nadzieje nigdy nie mogły się spełnić. Powinnam była zresztą zdać sobie z tego sprawę znacznie wcześniej, gdy obserwowałam Jean - Guy w towarzystwie innych członków zespołu. Jean - Guy nigdy się wprawdzie nie wywyższał, ale mimo wszystko był pierwszym tancerzem naszego zespołu, a

ja, Victoria Maters, dziewczyna o wielkich oczach i spiczastym podbródku, rozpoczynałam dopiero pracę. W dodatku Jean - Guy znał mnie od dziecka, niemal od czasu, gdy chodziłam jeszcze w pieluchach. Daj sobie spokój, dziewczyno! Nabierz trochę rozsądku i zdejmij różowe okulary. Nadszedł czas, by wreszcie poznać prawdziwe życie i szeroki świat.

A ten szeroki świat naprawdę kiwał na mnie placem. Nie mogłam się doczekać spotkania z Claire.

Moja siostra wyjechała do Paryża przed ośmioma miesiącami, by dobrze nauczyć się języka.

Zamieszkała w kawalerce znajomego naszego taty, a zatem siłą rzeczy w jak najbardziej odpowiednim miejscu. Mama nie miała nic przeciwko temu, by Claire rozpoczęła samodzielne życie. Zawsze dawała jej więcej swobody, gdyż to właśnie Claire, nie ja, cieszyła się opinią osoby rozsądnej, praktycznie - takiej, która pamięta o zjedzeniu posiłku i zmianie pościeli i nigdy nie włączy się wieczorami towarzystwie nieodpowiednich mężczyzn.

To właśnie ona wpadła na pomysł, abym zatrzymała się u niej.

„Świetnie spędzimy razem czas” - pisała. - „Będziemy wprawdzie musiały spać w jednym łóżku, ale nie martw się, jest całkiem duże”.

Zdarzało się nam już sypać w jednym łóżku, podczas wakacji nad morzem z tatą i mamą. Biłyśmy się i szturchałyśmy całe noce, ale wtedy byłyśmy młodsze. Teraz stałyśmy się bardziej tolerancyjne, obie nauczyłyśmy się cenić zalety i wybaczać wady tej drugiej połówki. Claire podchodziła do życia w sposób zbyt przyziemny i prozaiczny, ale była jednocześnie godna zaufania, lojalna i wierna. Ni z tego, ni z owego, gdy wysiadaliśmy z samolotu na lotnisku Charles'a de Gaulle'a poczułam przypływ sympatii do mojej siostry. Tak naprawdę całkiem fajna z niej dziewczyna.

Według umowy Jean - Guy miał czekać na mnie na lotnisku (do Paryża przybył wcześniej, aby wystąpić w programie telewizyjnym) i zawieźć mnie do Claire.

- Niektórym to dobrze - mruknęła Marcia, gdy wchodziłyśmy do lotniskowego autobusu.

- O co jej chodzi? - Spytała Susie Sheridan, przysiadając obok. Suzie i ja dołączyłyśmy do zespołu przed paroma miesiącami. Żadna z nas nie potrafiłaby się jednak zdobyć na taki cynizm jak Marcia.

- Ona pewnie sądzi, że jako na początkującą baletnicę jestem nadmiernie uprzywilejowana. Wytyka mi znajomość z pierwszym tancerzem.

- I ma rację. W dodatku chodzi o Jean - Guy. Ale to oczywiście nie twoja wina - dodała wspaniałomyślnie Suzie.

- Marcia sądzi, że mu się narzucam.

- Absurd! Przecież on zwykle nie zwraca na ciebie większej uwagi niż na którąkolwiek z nas.

Suzie miała rację. Byłam naprawdę bardzo zaskoczona, gdy Jean - Guy zaproponował mamie opiekę nade mną. Widać mama zwróciła się z tą prośbą do cioci Vi, a ona z kolei zmieniła „parę słów” z Jean - Guy.

- Zazdroszczę ci tego rycerza w lśniącej zbroi. - Suzie westchnęła. - Każdej z nas przypadłby się teraz opiekun. Czytałaś gazety?

- Niejakie gazety? - Szczerze mówiąc, rzadko zaglądam do prasy.

- Przecież tam grasuje jakiś maniak!

- Co takiego? W Paryżu? Suzie skinęła głową.

- Owszem. Znaleźli już trzy ciała zamordowanych dziewcząt.

- Okropność! - Wzdrygnęłam się z obrzydzeniem. - Mam nadzieję, że mama się o tym nie dowie! I tak już uważa, że cała populacja Francuzów chce robić straszne, wręcz przerażające rzeczy z brytyjskimi dziewczynami.

- Ale ten naprawdę robi okropne rzeczy. Nazywają go Rzeźnikiem z *Bois de Boulogne*. Przeglądałam gorączkowo w pamięci strzępy swojej francuszczyzny. *Bois...* lasek?

- Rzeźnik z Lasku Bulońskiego - powiedziała Suzie. - Tam właśnie znaleziono trupy. To naprawdę straszne.

Myślałam chwilę. Cała ta historia rzeczywiście nie wydawał się przyjemna, ale jakoś nie potrafiłam się nią przejąć. Problem Rzeźnika z Lasku nie dotyczył przecież żadnej z nas.

- Po prostu bardzo się cieszę, że zamieszkałam w hotelu wraz z innymi - ciągnęła Suzie.

- Chyba bym się bała postąpić tak jak ty.

- W hotelu czułabym się znacznie gorzej - odparłam. Nie zamierzałam absolutnie wpadać w panikę. - Nigdy nie wadiom, kto może mieć drugi klucz od twojego pokoju.

- O rany, Vicky! Wielkie dzięki! Super! - pisnęła Suzie z amerykańskim akcentem. - Ale mnie pocieszyłaś.

Siedząca tuż przed nami Marcia natychmiast odwróciła głowę.

- Co się stało?

- Vicky właśnie mi powiedziała, że Rzeźnik z Lasku ma na pewno zapasowy klucz do mojego pokoju hotelowego.

- Nie róbcie sobie z tego żartów - wtrąciła się Carmen, sąsiadka Marcii. - Nie widzę w tym nic śmiesznego.

- Dajcie spokój! Żaden psychoz nie może nam popsuć tego tournée.

- Ja w każdym razie nie zamierzam się nigdzie włóczyć po zmroku.

- Ja też nie - dodała Suzie. - A jeśli chcecie wiedzieć, to ten laszek nie jest wcale tak daleko od naszego hotelu.

Nie był również daleko od mieszkania Claire w Neuilly, ale wtedy jeszcze na szczęście nie miałam o tym pojęcia, choć i tak pewnie ów fakt nie wyrwałby na mnie specjalnego wrażenia. Zbyt mocno przeżywałam emocje związane z wyjazdem i spotkaniem z Jean - Guy, niezależnie od tego, co do mnie czuł. Postanowiłam sobie wprawdzie solennie, że będę traktować go jak brata, ale wyzbycie się starych nawyków wymaga czasu. A ja kochałam się w nim przez większą część swojego życia.

Zgodnie z obietnicą Jean - Guy czekał na mnie na lotnisku. Nie pocałował mnie jednak na powitanie nawet po bratersku, choć oczywiście zupełnie mnie to nie zdziwiło. Świadcami naszego powitania byli wszyscy członkowie „Barbicanu”, więc i bez tego zahuczało od plotek. Odkrycie, że zespoły baletowe to prawdziwe siedliska zazdrości, nie zajęło mi zbyt wiele czasu. Jesteśmy zapewne zbyt zamknięci we własnym kręgu i odseparowani od reszty świata, by mogło być inaczej.

- Jak minęła podróż? - spytał Jean - Guy.

Odparłam, że wspaniale. Musiało to widać zabrzmieć stanowczo zbyt entuzjastycznie, a nawet dziecinnie, gdyż Jean - Guy roześmiał się tylko i stwierdził, że kiedy przelecę nad Kanałem tyle razy co on, na pewno mi się to znudzi. - Jesteś po prostu *blase* - stwierdziłam.

- Patrzcie ją! - Jean - Guy aż uniósł brwi ze zdziwienia. - Już mówi po francusku!

- Jeśli wejdiesz między wrony... - odparłam.

- W takim razie ćwicz dalej...

- *On dit* - powiedziałam z dumą - *quo ily a un maniaque? Ici, à Paris?* Twarz mu spochmurniała.

- Jakiś psychoz. Fakt. Nie chcę, żebyś wychodziła sama na ulice. Po każdym przedstawieniu czekaj na mnie w teatrze. Odprowadzę cię do domu. A skoro już o tym mowa, może zatelefonujemy do Claire i sprawdzimy, czy jest u siebie.

- Na pewno - odparłam. - Claire napisała w liście, że będzie na nas czekała, a postępuje zawsze zgodnie z umową.

- *Quand même*, sądzę, że lepiej zatelefonować.

Ja - rzecz jasna - nie miałam numeru telefonu do siostry. Jean - Guy na szczęście pamiętał o wszystkim. Zresztą ilekroć był w Paryżu, zawsze do niej dzwonił i relacjonował potem mamie, że Claire nie padła w długie, nie zażywa narkotyków ani nie zaszła w ciążę. Nikt zresztą nigdy by jej o coś podobnego nie posądzał, ale mama była zawsze przesadnie

ostrożna. Jean - Guy wybrał numer i wręczył mi słuchawkę.

- Proszę ty z nią porozmawiaj.

- Halo! - powiedziałam do mikrofonu, ale usłyszałam jedynie długi, przerywany sygnał. Nikt nie odebrał. Czekałam przez dłuższą chwilę. W mieszkaniu jednak na pewno nikogo nie było. Jean - Guy wzruszył ramionami.

- Wyszła.

- Przecież obiecała, że będzie czekać.

- Najwyraźniej zapomniała.

- Claire nigdy o niczym nie zapomina.

- Jest tylko człowiekiem - powiedział Jean - Guy. Często pytaliśmy żartobliwie, czy doskonała Claire aby na pewno należy do ludzkiego gatunku. Najwyraźniej należała. Nadal jednak nie mogłam w to uwierzyć.

- Chodźmy na kawę, a potem spróbujemy jeszcze raz.

- Która godzina? - spytałam, przechodząc za Jean - Guy na drugą stronę ulicy.

- Pierwsza. Wszystko w porządku. W teatrze mamy się zjawić dopiero o wpół do trzeciej.

Czekała nas pierwsza próba, a potem wolny wieczór, ale ja zupełnie o tym nie myślałam. Całą moją uwagę skupiła nieobecność Claire.

- Wiem, że ona na pewno by nie zapomniała. Nie mogła się doczekać mojego przyjazdu.

- Więc widać wyszła na chwilę z domu i coś ją zatrzymało. Pokręciłam głową.

- Ona by czegoś takiego nie zrobiła. Przecież ją znasz. Moja siostra należy do osób, które obliczają ile czasu może im zająć dotarcie do jakiegoś miejsca, a następnie mnożą wynik przez dwa, by nie podejmować zbędnego ryzyka.

- Za parę minut spróbujemy jeszcze raz - powiedział Jean - Guy .

Wypiliśmy kawę przy nasłonecznionym stoliku na ulicy i ponownie zatelefonowaliśmy do Claire.

Wciąż nikt się nie zgłaszał.

- Weźmy taksówkę. Zanim dojedziemy na miejsce, ona na pewno wróci do domu.

- Dziwne - mruknęłam. - To naprawdę do niej nie pasuje.

Ale wówczas jeszcze nie widziałam powodu do zmartwienia. Niepokój przyszedł później.

ROZDZIAŁ 2

To naprawdę zupełnie do niej nie pasuje - powtórzyłam, siedząc już w taksówce. Przecież właśnie ja zawsze się spóźniałam i zapominałam o spotkaniach. Ja. Nie Claire. Claire należała do najbardziej irytująco odpowiedzialnych osób, jakie znałam (irytująco, gdyż ilekroć nas porównywano, nie wypadało to na moją korzyść).

- Dlaczego nie jesteś taka jak twoja siostra? - pytała mama za każdym razem, gdy nieodpowiedzialna Victoria zawałała po raz kolejny jakąś sprawę. - Na Claire zawsze można polegać.

- Może się zmieniła. Paris. - Jean - Guy westchnął z przesadnym akcentem. - Co też to miasto wyczynia z ludźmi!

- Ale nie z Claire.

Byłam nawet zdziwiona, że Claire wybrała właśnie Paryż jako miejsce swoich studiów. Coś bardziej rozsądnego - na przykład Bruksela lub Lucerna - pasowałoby do niej znacznie lepiej.

- Mogę się założyć, że poznała jakiegoś faceta, chodzi z głową w chmurach i całkiem o tobie zapomniała.

- Nie Claire - powiedziałam stanowczo.

Dojechaliśmy do ulicy Fleury położonej w pobliżu stacji metra Pont de Neuilly, czyli, jak to określił Jean - Guy, w dobrej dzielnicy, i taksówka zatrzymała się pod małą, dość starą, otynkowaną na szaro kamienicą. Poza Claire mieszkało w niej tylko sześciu lokatorów, no i oczywiście konsjerżka. O konsjerżce Claire, pani Dastugue, wiedziałam absolutnie wszystko, gdyż siostra pisała o niej często w listach do mamy. Pani Dastugue rządziła kamienicą naprawdę żelazną ręką i bez napiwku nie była skłonna zrobić najprostszej rzeczy - takiej jak choćby przekazanie wiadomości lub odebranie paczki. Claire mieszkała na poddaszu - w mieszkaniu odizolowanym całkowicie od reszty apartamentów. Nacisnęłam dzwonek domofonu w nadziei, że usłyszę za chwilę zakłopotany głos mojej siostry: „Halo? Vicky, to ty? Próbowełaś do mnie dzwonić? Tak mi przykro. Wysłałam i straciłam poczucie czasu”. W gruncie rzeczy ani przez chwilę w to nie wierzyłam.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedział Jean - Guy. Przycisnęłam dzwonek po raz kolejny. I znowu bez rezultatu.

- Nie ma jej w domu.

Nie. Włóczy się gdzieś z jakimś facetem.

- O tej porze?

- A czy w tych sprawach obowiązują jakieś zasady?

Odparłam, że Claire na pewno nigdy by sobie na coś podobnego nie pozwoliła. Jean - Guy roześmiał się tylko.

- Daj spokój! Siedemnaście lat, Paryż i nic? Żadnych szaleństw? Nie Claire - pomyślałam.

- Sądzisz po sobie? - spytałam.

- A jak myślisz?

Uwierzyłam mu natychmiast. Jean - Guy ma ogromny temperament; Claire natomiast jest pełna rezerwy, nie okazuje uczuć. Poza tym moja siostra nigdy nie padła ofiarą namiętności tak charakterystycznych dla reszty gatunku ludzkiego. Ja na przykład straciłam już rachubę mężczyzn, w których się kochałam. (Oczywiście tak naprawdę liczył się w moim życiu jedynie Jean - Guy).

- Porozmawiam z dozorczynią, może Claire zostawiła u niej jakąś wiadomość. - Jean - Guy przycisnął dzwonek mieszkania konsjerżki. - Jeśli nie, zostawimy bagaże u mnie i wrócimy tu później. Dozorczyńni bardzo długo nie podchodziła do domofonu. Gdy tak czekaliśmy, chciałam spytać Jean - Guy, z kim on tak szalał, ale nie miałam do tego prawa. Ani nadziei, że powie prawdę. NA szczęście w końcu zjawiła się konsjerżka i przerwała moje rozważania, zanim uległam pokusie. Obrzuciła nas oboje niezbyt przyjacielskim spojrzeniem - mniej więcej tak, jakbyśmy byli zarazkami tyfusu i mruknęła coś, co mogło, ale nie musiało, być jakimś francuskim słowem. Jean - Guy wytłumaczył pani Dastugue, że nazywał się Victoria Master i jestem *la solur de Claire Maters*. A może powiedział: *la jumelle*, czyli bliźniaczka, choć tak naprawdę mówił stanowczo za szybko, abym była w stanie wyłapać więcej niż co drugie słowo. Gdy wreszcie skończył, pani Dastugue wymamrotała coś zupełnie niezrozumiałego i wróciła do swojej nory.

- I co? - spytałam.

- Mówi, że coś dla ciebie ma.

Jakie to szczęście, że Jean - Guy przywiózł mnie do Claire. Bez niego absolutnie nie dałabym sobie rady! Dozorczyńni wróciła. Była stara, zgrubiała i bardzo nieżyczliwa - dokładnie taka, jakie opisują w książkach.

- Voila.

Podala mi klucz i kopertę. NA kopercie rozpoznałam charakter pisma mamy: Panna Claire Master, ul. Fleury8/14, Neuilly - sur - Seine, Paryż, Francja. Adres był przekreślony, a tuż nad nim widniało moje imię. Koperty nie zaklejono. Claire rozcięła ją starannie (ja zwykle rozrywam listy) i po prostu zachowała. Każdy mógł przeczytać liścik i pani Dastugue na

pewno nie omieszkała tego uczynić. To zresztą nie miało znaczenia, list i tak niczego nie wyjaśniał.

„Drogi Sobowtórku - pisała Claire - bardzo mi przykro, że nie mogłam na ciebie zaczekać. W ostatniej chwili musiałam zmienić plany. Mieszkanie należy do Ciebie. Claire”.

Bardzo zdziwiona poszłam za Jean - Guy na górę To zupełnie nie pasowało do tej Claire, którą znałam d siedemnastu lat, a nawet i dłużej jeśli policzyć nasze życie łonowe. Claire to naprawdę moja bliźniaczka. Potrafimy czytać w sobie nawzajem jak w otwartych książkach. Może nie po zostajemy w bliskich stosunkach, ale rozumiemy się na wylot. Zwykle to ja pisze liściki na odwrocie listy zakupów (po drugiej stronie kartki Claire zanotowała wcześniej: herbata, ser, bagietka), ona korzysta ze specjalnych notatników. Ja w ostatniej chwili zmieniam plany, a moja rozsądna siostra lubi się do wszystkiego odpowiednio przygotować. - I co ona pisze? - Jean - Guy dotarł do mieszkania numer osiem i właśnie wkładał klucz do zamka.

- Właściwie nic. Wspomina jedynie o zmianie planów.

- A nie mówiłem? Wyjechała z chłopakiem.

- Niekoniecznie z chłopakiem - mruknęłam.

- A co by ci to przeszkadzało?

Nie miałam nic przeciwko chłopakom, próbowałam jedynie zrozumieć niezwykle zachowanie mojej siostry bliźniaczki.

- Może raczej wybrała się gdzieś z koleżanką ze szkoły językowej - zasugerowałam z powątpiewaniem. - Pisała coś kiedyś o takiej Amerykance...

- Ależ z ciebie nudziara... - Jean - Guy wyjął mi liścik z ręki. - Mhm... niewiele z tego można wywnioskować, prawda? To wszystko potwierdza tylko moją teorię. Wyjechała z mężczyzną. Obróciliśmy całą sprawę w żart i poszliśmy do hotelu Jean - Guy, spekulując, jak wygląda i kim też może być ów tajemniczy chłopak Claire. Jean - Guy twierdził, że to a pewno wysoki, szczupły Szwed, może Ingmar, typ intelektualisty pracujący dla UNESCO. Ja optowałam za Niemcem - Hermanem. Herman mógł liczyć równie dobrze osiemnaście jak czterdzieści lat, nosił szare garnitury i okulary w złotych oprawkach. Oboje zgadzaliśmy się natomiast, że zarówno Ingmar, jak Herman, gdyby naprawdę istnieli, byłiby całkowicie pozbawienie poczucia humoru. Nie potrafiliśmy sobie wyobrazić Claire zakochanej w jakimś luzaku. Ja zresztą w ogóle nie wierzyłam, by moja siostra w kimkolwiek się zadurzyła, ale zabawa z Jean - Guy była naprawdę przednia.

Spacer do hotelu Fleury nie zajął nam więcej niż dziesięć minut. Na miejscu stwierdziłam z ulgą że hotel ma klasę: dużo szkła, chromu, puszyste dywany. Bardzo bym nie

chciała, aby Jean - Guy musiał ze względu na mnie mieszkać w jakimś norze. Reszta zespołu zakwaterowała się w hotelu w pobliżu Pól Elizejskich, niedaleko teatru.

- Kto by chciał się dobrowolnie skazać na ich towarzystwo? - powiedział Jean - Guy. - Mam ich dość przez cały dzień.

W głębi serca czułam jednak, że wolałbym mieszkać ze wszystkimi i zgodził się na opiekę nade mną wyłącznie na prośbę mamy i cioci. Jean - Guy jest bardzo towarzyski, ja zresztą też. Poza tym nieobecność Claire trochę zbiła mnie z tropu. Nie sądziłam, że będę skazana na samotność. W teatrze mówiono wyłącznie o Rzeźniku z Lasu, co było zupełnie niezwykle, gdyż w garderobie rozbrzmiewają zwykle pogaduszki związane z baletem - plotki, kto się z kim spotyka, kto dostaje najlepsze role, narzekanie na kostiumy - brzydkie, za małe, za duże, cuchną potem i pudrem, nie nadające się do tańca, oraz skargi na baletki - zbyt twarde lub miękkie, oraz na fatalne jedzenie. To, co się dzieje na zewnątrz, po prostu nie ma znaczenia. Równie dobrze mogłybyśmy mieszkać na innej planecie. Gdyby ktoś mnie teraz zapytał, która partia wygrała ostatecznie wybory, nie miałaby najmniejszego pojęcia. Ale ten Rzeźnik naprawdę zrobił na nas wrażenie.

Kiedy przyjechałam do teatru, Marcia czytała właśnie na głos artykuł z „France Soir” i tłumaczyła do na żywo. Marcia nie jest wcale bardziej wykształcona czy inteligentniejsza od nas - chodziła po prostu do tej snobistycznej zakonnej szkoły, gdzie mówiono po francusku podczas każdego posiłku.

- „...niezidentyfikowane jak dotąd zamordowana kobieta mogła mieć około dwudziestu lat. Podobnie jak w dwóch poprzednich przypadkach ciało odnaleziono w płytkim grobie wykopanym w mało uczęszczanej części lasu. Policja twierdzi, że tej okrutnej zbrodni dokonał zapewne seryjny morderca, który pewnie już wkrótce zaatakuje ponownie”.

- A te dwie pierwsze? Już je rozpoznano? Marcia przebiegła wzrokiem tekst.

- Nie. „Nazwiska dwóch pierwszych osób wciąż pozostają nieznane”.

- Okropność - jęknęła Suzie. - Żałuję, że w ogóle tu przyjechałyśmy.

- Przestań się mazać! - Marcia stanowczym ruchem odłożyła gazetę. - Jeżeli będziemy trzymać się razem, nic nam nie grozi.

- Ja jestem uziemiona w Neuilly! - jęknęłam.

- Ale nad tobą czuwa Jean - Guy - powiedziała Carmen. - W jego towarzystwie nic ci nie grozi. Obecność Jean - Guy stanowiła istotnie pewne pocieszenie, ale naprawdę bardzo żałowałam, że Claire wybrała sobie akurat ten moment, by wyjechać i zostawić mnie samą na pastwę losu.

Po próbie - która wypadła wprost fatalnie, jak to zwykle bywa w nieznanym teatrze -

przyszedł do nas kierownik zespołu. On również poruszył temat Rzeźnika.

- Wolałbym, żebyście nie wychodziły na ulicę po zmroku. A jeśli już koniecznie musicie, to w męskim towarzystwie, albo bierzcie taksówkę, ewentualnie chodźcie dwójkami. To może wam trochę popsuć pobyt, ale po co niepotrzebnie ryzykować?

Kiedy wychodziłyśmy z teatru, wciąż było widno. Nastął już kwiecień i wieczory stawały się coraz dłuższe. Kilka dziewczyn umówiło się na kolację.

- Czy Wasza Wysokość wybiera się z nami? - spytała Marcia. - Czy też je kolację w bardziej szacownym towarzystwie? - dodała, zerkając na Jean - Guy, który rozmawiał właśnie z Siergejem, naszym baletmistrzem. Prawdę mówiąc, sama nie znałam jeszcze swoich planów. Jean - Guy obiecał wprawdzie, że będzie się mną opiekował, ale nie przyrzekał oprowadzać mnie po Paryżu. Jak się jednak okazało, takie właśnie miał plany.

- Gotowa? - Uniósł brew, uznając widać za pewnik, że wychodzimy razem.

- O rany! - jęknęła Carmen. Marcia pokręciła głową.

- Nie rób sobie nadziei - mruknęła.

Podczas kolacji w bistro, (gdzie Jean - Guy był doskonale znany ze swoich poprzednich wizyt) znów zaczęliśmy dociekać dokąd wyjechała Claire. Próbowaliśmy też żartować na temat Ingmara i Hermana, ale tym razem jakoś mnie to nie bawiło.

- Co jest? - spytał w końcu Jean - Guy. - Chyba się o nią nie martwisz?

Czy się martwiłam? Czyżbym istotnie zaczęła odczuwać jakieś obawy? Pozornie nie było ku temu powodu. Claire napisała wyraźnie: „Do zobaczenia wkrótce”.

- Po prostu takie postępowanie zupełnie nie jest w jej stylu.

- Paryż działa w ten sposób na ludzi. Całkowicie się tu zmieniają.

- No tak. Może masz racje, ale... - Jean - Guy nie znał Claire tak dobrze jak ja. Moja siostra nigdy nie postępowała pochopnych decyzji, nie postępowała impulsywnie. Nie wierzyłam że pobyt w Paryżu może wypaczyć czyjąś osobowość.

- A tobie się nie zwierzała? - spytałam.

- Mnie?

- Podczas waszej ostatniej rozmowy.

- Czyli kiedy? - Jean - Guy popatrzył na mnie niepewnie. Kiedy to było?

- Myślałam, że zawsze do niej dzwonicz, kiedy jesteś w Paryżu.

- Oh tak, zwykle tak. Tym razem jednak czekałem na twój przyjazd, bo wiedziałem, że i tak się zobaczymy. Ale poprzednim razem Claire była w świetnej formie.

A więc dwa tygodnie wcześniej nic nie wróżyło kłopotów. Co też mogło się zmienić przez dwa tygodnie?

- Nie zapominaj, że Claire rozpoczęła wakacje - przypomniał Jean - Guy. - Semestr już się skończył i ona ma wolne.

- No tak, ale miała przecież zostać w Paryżu i nadal uczyć się francuskiego.

Moja siostra bliźniaczka postanowiła sobie solennie, że zostanie stewardessą i do końca roku zamierzała doprowadzić do perfekcji swój francuski. (A potem, rzecz jasna, chciała się przenieść do Hiszpanii i opanować kolejny język. Claire postępowała zawsze niezwykle metodycznie).

- Mama miała nadzieję, że Claire wróci do domu.

- Niezależnie od tego, dokąd się udała, na pewno nie jest daleko. I wróci, zanim my zdążymy wrócić do Anglii.

- Pewnie tak.

- To wynika z jej listu. Rzeczywiście Claire wyraziła taką chęć.

- Słuchaj, a może byśmy tak zamienili parę słów z panią D.? Może Claire zdradziła jej swoje zamiary? Ludzie czasem zwierają się dozorczyniom ze swoich problemów.

Ale nie Claire - pomyślałam.

Pani Dastugue, którą wyciągnęliśmy z łóżka o jedenastej w nocy, nie wydawała się zachwycona. Trudno było ją zresztą za to winić, choć Jean - Guy tłumaczył najlepiej jak umiał, że martwię się o siostrę. Pani Dastugue skrzyżowała po prostu ręce na obwisłym biuście i powiedziała: *Je n 'en sais rien*, czyli: nic o tym nie wiem. Kiedy Jean - Guy zaczął nalegać (wyjaśnił mi potem, że pytał panią Dastugue, czy za innych przyjaciół Claire i czy Claire spotykała się z kimś szczególnie często) dozorczyni oburzyła się jeszcze bardziej. Odparła urażonym tonem, że nie ma zwyczaju nikogo szpiegować, co - jak się później okazało - było wierutnym kłamstwem. Całymi godzinami przesiadywała, bowiem przy oknie, łypiąc przez firankę na bramę kamienicy.

- Jestem przekonany, że Claire z pewnością do ciebie zatelefonuje. Będzie chciała sprawdzić, czy bez problemu dotarłaś na miejsce.

Istotnie, to by do niej pasowało, ale gdy tylko dotarliśmy na miejsce, telefon milczał. Nie zadzwonił również później kiedy Jean - Guy wyszedł do hotelu, a ja przebierałam się do snu. Później, już w nocnej koszuli, stałam przez chwilę na balkonie i patrzyłam na światła Paryża, zastanawiając się, ileż to razy moja siostra bliźniaczka robiła to sama co ja teraz.

Jak na początek kwietnia na poddaszu było ciepło i duszno. Mieszkanie Claire zakwalifikowana oficjalnie jako studio, co w praktyce oznaczało jeden pokój z kuchenką w rogu oraz małą łazienką i toaletą.

Na szafce obok prymitywnej kuchenki stała maleńka lodówka. Zajrzałam do środka,

by sprawdzić, czy Claire zrobiła jakieś zapasy przed wyjazdem. Okazało się jednak, że nie tyle poczyniła zapasy, ile po prostu zostawiła napoczęte produkty: mleko, masło, ser, salami. Popatrzyłam z namysłem na półki. I to również nie było podobne do Claire. Ludzie metodyczni jak ona nie wyjeżdżają pozostawiając napoczęte jedzenie. Wyjęłam karton mleka - pachniało jeszcze zupełnie dobrze. Claire opuściła zatem mieszkanie całkiem niedawno. Żałowałam, że nie wypytaliśmy pani Dastugue, kiedy dokładnie wyjechała.

W przypiływie nagłego olśnienia otworzyłam szafę, by sprawdzić, jakie ubrania zabrała ze sobą moja siostra. Na pierwszy rzut oka odniosłam wrażenie, że Claire nie spakowała zbyt wielu ciuchów - może dzinsy, parę podkoszulków, że dwie bluzki i spódniczki. Mimo tylu różnic zawsze podobały nam się te same ubrania. I jeśli rozumowałam poprawnie. Claire albo w ostatniej chwili wrzuciła do torby parę szmatek, albo nie wybierała się nigdzie na długo. A może prawdą były obie hipotezy?

Za tym nagłym wyjazdem kryła się z pewnością jakaś tajemnica, ale to wszystko musiało się wkrótce wyjaśnić.

Po podróży i próbie czułam się tak zmęczona, że zasnęłam w chwili, gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki i... właśnie Claire nie zmieniła pościeli. Powłóczki nie były wprawdzie brudne, ale również nie wydawały się świeże.

A Claire nigdy sobie nie pozwalała na tego rodzaju zaniedbania. CO więcej, w zlewie zauważyłam wcześniej parę nie umytych naczyń! Claire - symbol wszelkich cnót i brudne talerze! (obejrzałam je dokładnie następnego ranka, ale nie udało mi się wydedukować, jaki posiłek jadła Claire przed wyjazdem: śniadanie czy kolacje).

Mama byłaby z pewnością bardzo zawiedziona, gdyby się okazało, że wychowała dwa niechluję - pomyślałam i zapadłam w sen.

Niedługo potem (jak się okazało w niecałą godzinę po zaśnięciu) usiadłam przerażona na łóżku, usiłując dociec, co mnie właściwie obudziło. Przez świetlik w dachu do pokoju zaglądał księżyc. Z oddali dochodziły dźwięki ruchu ulicznego. A potem nagle usłyszałam coś, co nie pasowało do typowo nocnych odgłosów - coś jakby chrobot czy też kroki na dachu. Usiadłam wyprostowana na łóżku i zaczęłam nasłuchiwać. Przez świetlik w dachu nie widziałam już widziałam księżyc. Zasłonił go jakiś wielki, czarny kształt.

Kształt poruszył się, odsłonił szybę świetlika i pokój posrebrzyła znów księżycową poświata.

Znowu usłyszałam czyjeś kroki - ciche, niemal bezszelestne. Ktoś szedł po dachu. A zaraz potem, tym razem z wielkiej odległości dotarł do mnie głuchy odgłos upadku. Nie krzyknęłam tylko dlatego, że gardło miałam ściśnięte ze strachu. Jakiś czarny cień zaglądał do

pokoju przez podwójne drzwi. Drzwi, które tak niefrasobliwie zapomniałam zamknąć.

Potem nie mogłabym już na to przysiąc, ale tamtej nocy byłam pewna, że widziałam sylwetkę człowieka.

ROZDZIAŁ 3

Chyba nigdy w życiu nie ruszałam się tak szybko. Jestem wprawdzie znana z szybkich piruetów, ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, jak błyskawicznie wyskoczyłam z łóżka i wypadłam z mieszkania. Na szczęście zostało mi tyle przytomności umysłu, bo chwycić szlafrok i zabrać klucze. Dziewczyna pędząca po ulicach w koszuli nocnej mogłaby zwracać uwagę nawet w liberalnym Paryżu. Nie przyszło mi do głowy, by zapukać do drzwi pani Dastugue i kazać jej wezwać policję. Ja sama natomiast nie dałabym sobie rady z francuskim. Wykrztusiłabym jedynie:

- Au secours! Il y a un home sur mon balcon!

Pewnie by mi nie uwierzyli. Uznano by mnie za rozhisteryzowaną Angielkę, która naczytała się za wiele o Rzeźniku z Lasku.

Najbardziej mi zależało na kontakcie z Jeaan - Guy.

Na ulicy Fleury było pusto. Pobiegłam szybko do hotelu, w którym zatrzymał się Jean - Guy, i wpadłam do holu przez obrotowe drzwi. Nawet jeśli recepcjoniści byli zdumieni tym nagłym wtargnięciem bosonogiej dziewczyny ubranej w niebieski szlafrok od Marksa i Spencera oraz nocną koszulę w kropki, to nie dali nic po sobie poznać. Byli naprawdę bardzo opanowani.

Ze strachu nie mogłam z siebie wydusić ani słowa po francusku.

- Jean - Guy Fontenille! Możecie do niego zadzwonić? - spytałam w mym rodzinnym języku. Recepcjoniści znali oczywiście angielski.

- Oczywiście, proszę pani, ale pana Fontenille'a nie ma chyba w pokoju. Nie ma? Jean - Guy nie ma w hotelu?

Ogarnęła mnie jeszcze większa panika.

Czegoś podobnego nie byłam w stanie przewidzieć. Gdzież on się podział? Chyba zamierza zaraz wrócić?

- Sa clé...

Klucz istotnie wisiał w przegródce, dokładnie tam, gdzie zostawił go Jean - Guy, wychodząc z hotelu.

- Bardzo mi przykro. Nikt nie odpowiada. - Recepcjonista odłożył słuchawkę. Serce zabiło mi jak młotem. Czułam się jak ostatnia idiotka.

I co niby mogłam ze sobą zrobić przez resztę nocy?

- Czy pani ma jakiś problem? Może mogę pomóc?

- Ja...

Na szczęście w tej samej chwili w hotelu zjawił się Jean - Guy.

- Vicky! Qu 'est - ce qu 'ily a?

Rzuciłam się na niego, wyrzucając z siebie potok niezrozumiałych słów.

- Spokojnie, spokojnie! - Jean - Guy objął mnie ramieniem i posadził na pluszowej kanapie.

- *Bon! Aloes!* Powtórzmy sobie to wszystko jeszcze raz, tylko że tym razem wolniej.

Więc usłyszałaś hałas...

- Tak... ten hałas mnie obudził. No i... najpierw przez świetlik w dachu do pokoju wpadał księżyc, a potem coś go zasłoniło. I to coś skoczyło na balkon i...

- To coś - powtórzył Jean - Guy. - Więc równie dobrze mogłaś widzieć zwierzę, prawda?

- Ja...

- Na przykład kot. Pokręciłam zdecydowanie głową.

- To było znacznie większe.

- Na pewno? W nocy wszystko wydaje się inne, a kocury bywają ogromne.

Teraz Jean - Guy zasiał we mnie ziarno wątpliwości. Czy naprawdę kocur? Czy okazałam się jeszcze jedną rozhisteryzowaną panienką która naczytała się zbyt wiele powieści kryminalnych? Znow stanął mi przed oczyma ciemny, przygarbiony kształt i już niczego nie byłam pewna.

- Chodźmy tam i sprawdźmy - zaproponował Jean - Guy.

A potem zerknął w dół, dostrzegł moje bose stopy i otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Matko Boska! Przecież ty nie masz butów!

Oblałam się rumieńcem. Naprawdę zaczęłam czuć się głupio.

- Wybiegłam po prostu na ulicę - wymamrotałam.

- Musiałaś się strasznie bać. No chodź! - Zanim zdołałam zaprotestować, wziął mnie na rękę.

- Wszystko w porządku - zaprotestowałam. - Mogę iść sama. Jest ciepło i...

- To bardzo niebezpieczne. Możesz wejść na rozbite szkło i skaleczyć się w nogę. Jak w tedy będziesz tańczyć?

Strach odebrał mi argumenty. Tancerze - co może zresztą wydawać się dziwne, zważywszy na wszelkie niedogodności związane z tym zawodem - naprawdę kochają to, co robią. Większość z nas żyje wyłącznie dla baletu. Dlatego też schroniłam się pokornie w opiekuńczych ramionach Jean - Guy, fantazjując, że pewnego dnia zrobimy to samo na

scenie.

- Mam nadzieję, że oni nie zadzwonią do gazet? - powiedziałam, dostrzegłszy ciekawskie spojrzenie recepcjonisty.

Jean - Guy wzruszył tylko ramionami.

- *Tant pis!* A co byś właściwie zrobiła, gdybym nie wrócił?

- Nie wiem - odparłam ponuro. - Do mieszkania Claire na pewno bym dobrowolnie nie poszła. - Gdzie...

Chciałam go właśnie zapytać, gdzie był, ale nagle zmieniła zamiar. Przed wszystkim nie byłam wcale pewna, czy rzeczywiście chce to wiedzieć, a poza tym czułam, że to zupełnie nie moja sprawa.

- Nie krepuj się! - Powiedział Jean - Guy z rozbawieniem. - Poszedłem po prostu na spacer, napić się kawy.

Dlaczego by nie? Ja położyłam się wprawdzie o jedenastej, ale to wcale nie znaczyło, że Jean - Guy musi brać ze mnie przykład. Zresztą on pewnie zawsze chodzi późno spać. Po przedstawieniu trzeba najpierw trochę ochłonać, więc tancerze wychodzą zwykle gdzieś na kolacje i lądują w łóżkach nad ranem.

Weszliśmy do kamienicy.

- Dobrze, że nie zapomniałaś o kluczach - pochwalił mnie Jean - Guy.

- Nie jestem absolutną kretynką - odparłam i zaczęłam wchodzić po schodach. Poruszałam się bardzo cicho, na palcach. Aby nie zakłócić spokoju innych kolatorów i... nie spłoszyć ewentualnego intruza.

- Sądzisz, że tam ktoś może być? - szepnęłam, gdy stanęliśmy pod drzwiami.

- Jeśli nawet tak, to sobie z nim poradzę. Jean - Guy jest silny i wysportowany, toteż zapewne nie były to czcze przechwałki, ale nie mieliśmy okazji tego sprawdzić. Mieszkanie okazało się puste. Doszliśmy do wniosku, że po prostu poniosła mnie wyobraźnia. Pierwsza noc w Paryżu, koszmarnie artykuły w gazetach, niknięcie siostry...

- Ależ ona wcale nie zniknęła - poprawił mnie Jean - Guy. - Nie napisała po prostu, dokąd się wybiera. Zrobiłam już i tak z siebie wystarczającą idiotkę, więc wolałam z nim nie polemizować. Niepokoił mnie jednak pewien szczegół. Drzwi prowadzące na balkon były zamknięte.

- Jestem pewien, że zostawiałam je otwarte - powiedziałam.

- Zostawiłaś je otwarte? - powtórzył Jean - Guy z niedowierzaniem. - Nie zamknęłaś balkonu? I twierdzisz, że nie jesteś kompletną kretynką?!

- Jest gorąco. Poza tym mieszkam na trzecim piętrze...

- I tuż pod samym dachem, gdy tymczasem po ulicach grasuje szaleniectwo. - Jean - Guy podszedł stanowczym korkiem do balkonowych drzwi.

- One są tylko zatrzaśnięte. Trzeba je jeszcze zamknąć na klucz i zasuwę.

W dalszym ciągu nie rozumiałam tajemniczej historii z drzwiami, ale Jean - Guy najwyraźniej nie przywiązywał do tego faktu żadnego znaczenia.

- Były otwarte na oścież?

- Nie. Uchylone. Potrzebowałam powietrza - dodałam szybko, widząc karcące spojrzenie Jean - Guy. Wskazał mi wentylator.

- To ci będzie musiało wystarczyć. Ostrożność nie zawadzi.

- Naprawdę sądzisz, że na dachu ktoś był?

- Nie wiem, ale nie mogę tego wykluczyć. Chcesz, żebym został z tobą na noc?

Mimo rozmowy z Marcją poczułam nagle drżenie serca. Trudno się wyzbyć starych nawyków.

- Położę się na sofie - dodał szybko Jean - Guy.

Czy w innych okolicznościach starczyłoby mi odwagi, by powiedzieć, że w łóżku wystarczy miejsca dla nas obojga?

- Jak prześpię się na sofie - wymamrotałam. Jestem mniejsza od ciebie.

Nic więcej nie mogłam zrobić. Jeśli już jedno z nas musiało cierpieć niewygody, to powinnam to być ja, nie on. Jean - Guy próbował ze mną polemizować, ale nie zaproponował, że będziemy dzielić łóżko. W końcu znalazłam odpowiedni argument.

- To ty jesteś wielką gwiazdą. Nie możesz się kulić na niewygodnej kanapie.

- Tak, rzeczywiście - powiedział takim tonem, jakby doznał nagłego olśnienia. - Miło, że o tym pomyślałaś. Zresztą i tak nie zamierzałam być dzentelmenem. Jestem zwolennikiem feminizmu.

- Jasne - odparłam.

Jean - Guy i tak nie mógłby spać na sofie z przyczyn czysto logistycznych. Nawet ja mieściłam się na niej z trudem. Rano miałam całkiem sztywny kark i bolały mnie łopatki, ale gdyby nie obecność Jean - Guy w ogóle nie zmrużyłabym oka. Dlatego nie powinnam była narzekać, ale jakoś nie potrafiłam się powstrzymać.

- Czuje się jak kompletny wrak - jęknęłam. - Cierpię chyba na zapalenie kręgosłupa.

- W tym zawodzie trudno o przyjemność bez bólu - odparł nielitościwie Jean - Guy.

- O jakiej przyjemności mówisz? - Zwinięta na kanapie z popsutymi sprężynami w kształt litery S! Też mi przyjemność!

- Popatrz na to w inny sposób - poradził Jean - Guy. - Kiedy jesteś na cenie i robisz

wygibasy,omal nie wyłamując sobie przy tym stawów, sprawiasz przyjemność tysiącom ludzi! I twierdzisz, że to nie jest wystarczająca nagroda?

- Dla tych, którzy dostają bukiety kwiatów, być może jest - odparłam sarkastycznie.

- I na ciebie przyjdzie kolej, dziecko - powiedział protekcyjnie Jean - Guy. - Bądź cierpliwa. Zbierając porzucane ubrania, ani na chwilę nie przestawałam myśleć o otwartych drzwiach balkonowych. W jaki sposób mogły się same zamknąć?

Jean - Guy też najwyraźniej się nad tym zastanawiał, chyba poprzedniego wieczoru starał się zbagatelizować problem.

- Chyba wiem! - powiedział w końcu. - Wybiegłaś z mieszkania w panice, prawda? Zatrzasnęłaś za sobą drzwi. Stworzyłaś w ten sposób próżnię.

Popatrzyłam na niego z powątpiewaniem. Przedmioty ściśle nigdy nie należały do moich mocnych stron. Zresztą i Jean - Guy nie posądzałam o takie zamiłowania.

- Próżnia wessała drzwi balkonowe z taką siłą że się zamknęły - dokończył Jean - Guy. - Co ty na to?

- No może... - odparłam z powątpiewaniem.

- Mówię ci, że tak było - przekonywał. - Masz odpowiedź.

Nie starczyło nam jednak czasu na przeprowadzenie eksperymentów. Spieszyliśmy się na zajęcia baletowe, a jeszcze przedtem Jean - Guy musiał zabrać parę rzeczy z hotelu. Zostawił mnie w recepcji, zamówił rogaliki, a sam poszedł do swego pokoju. Przechodząc przez salę, recepcjonista, który pełnił nocy dyżur, obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem. Zresztą ni mogłam mu się dziwić. Miałam tylko nadzieję, że nie sprzeda swojej historii prasie

- GWIAZDA BALETU NOSI NA RĘKACH DZIEWCZYNYĘ W NOCNEJ KOSZULI.

Ale poranne gazety były pełne ponurych szczegółów dotyczących ostatniej zbrodni Rzeźnika. Marcia czytała jeden z artykułów w garderobie. Tekst pochodził z najbardziej chyba obrzydliwego i wulgarnego brukowca, jaki można sobie wyobrazić, ale nie mogłam przestać słuchać. Musiałam sobie ze wstydem przyznać, że jakaś moja część delektuje się niemal najbardziej okrutnymi fragmentami artykułu.

Podczas lunchu opowiedziałam Suzie o swoich wieczornych przeżyciach. Słuchała mnie z szeroko otwartymi oczyma.

- Na twoim miejscu natychmiast bym się przeniosła do naszego hotelu - jęknęła.

- Nie mogłabym zrobić czegoś podobnego. Czuję się jak skończona idiotka. Zresztą to chyba naprawdę tylko kot.

- Wszystko jedno - odparła Suzie.

- Muszę tylko pamiętać o zamykaniu drzwi balkonowych. - Zresztą naprawdę

podjęłam takie solenne postanowienie. Przecież nie mogłam biegać, co noc w szlafroku po ulicach i szukać Jean - Guy. Jeszcze by sobie pomyślał, że robię to z uwagi na jego osobę!

- Nie opowiadaj, jeśli nie chcesz - ciągnęła Suzie, rozglądając się po Sali, jakby chciała się upewnić, że nikt nie podsłuchuje. - Ale mimo wszystko jestem bardzo ciekawe... czy ty i Jean - Guy...

- Co?

- Czy wy jesteście razem? Pokręciłam z żalem głową.

- A czy to by było w ogóle możliwe?

- Czemu nie? - odparła Suzie.

Suzie jest o parę miesięcy młodsza ode mnie, a poza tym była chowana pod kloszem. Pod wieloma względami jest wciąż niezwykle naiwna.

- Ależ on traktuje mnie jak siostrę - odparłam. - A ja jego jak brata - dodałam stanowczo.

Nie zamierzałam powtarzać plotek Marcii, choć Jean - Guy z pewnością nie dbał o to, co się o nim mówi. Ludzie teatru odnoszą się do takich spraw zupełnie inaczej. Ale skoro Suzie o nim nie wiedziała, postanowiłam zostawić ją na razie w błogiej nieświadomości.

- Czy to znaczy, że on jest do wzięcia? - spytała teraz wprost Suzie, zapominając o starannym wychowaniu. - Ktoś innym może, zatem spróbować szczęścia?

- Pewnie - odparłam, myśląc, że gdyby Suzie zaczęła podrywać Jean - Guy, wysypałaby jej chyba całą paczkę śwędzącego proszku do trykotów.

- Płonne nadzieje. - Suzie westchnęła. - Trzeba by wyglądać jak lady Marcia, żeby mieć w ogóle jakieś szanse.

- Marcia? - spytałam zdumiona. A potem pomyślałam o lady Marcii, jak pogardliwie nazywała ją Suzie.

Marcia była niewątpliwie piękną - niesamowicie długie nogi, fantastyczne kasztanowe włosy, uwodzicielskie oczy, wyraziste rysy... Jedyne pocieszenie stanowił fakt, że Jean - Guy nie zainteresowałby się nią.

- Nie martwiłaby się o Marcję - powiedziałam. Martwiłam się natomiast o Claire, choć z całkiem innych powodów. A właściwie to jeszcze się tak bardzo nie martwiłam. Byłam raczej zaciekawiona, zaintrygowana. Od czasu do czasu jedynie odczuwałam ukucie niepokoju. Ale nic poza tym. Żadne koszmarnie myśli nie przychodziły mi na razie do głowy.

Mimo wszystko po południowej próbie poszłam na stację metra, by wrócić do mieszkania Claire i przeczytać raz jeszcze liścik od siostry. Może udałoby mi się znaleźć w nim coś czego dotąd nie dostrzegłam.

Jazda metrem nie stanowiła zbyt wielkiego wyzwania. Linia prowadziła z Champs Elysees prosto do Pont de Neuilly. Nawet dziecku nie udałoby się tam zgubić.

Już na miejscu zajrzałam do skrzynki pocztowej Claire i stwierdziłam, że jest pusta, skinęłam głową pani Dastuguej, a potem pobiegłam na górę do mieszkania. Ku mojej nieopisanej irytacji nie mogłam nigdzie znaleźć liściku od Claire. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy widziałam go po raz ostatni i uświadomiłam sobie nagle, że dałam liścik Jean - Guy. I co on z nim zrobił? Mówił potem, że odłożył go na stolik, razem z kluczami, ale liścik zniknął.

Po dziesięciu minutach bezowocnych poszukiwań zaniechałam dalszych wysiłków i zamiast tego odważyłam się zadzwonić do mamy. Obiecałam jej zresztą, że zrobię to w pierwszej wolnej chwili i wiedziałam, że mama czeka niespokojnie na telefon. Bardzo się bałam tej rozmowy. Gdyby spytała mnie o Claire, nie mogłabym jej przecież powiedzieć prawdy, bo umarłaby ze strachu. A tata? Tata jest bardzo opanowany, nigdy nie robi zbędnego zamieszania, ale zaledwie przed dwoma miesiącami wszczepiono mu b - passy.

W końcu postanowiłam jakoś obejść ten problem.

- Mama? - zaświergotałam. - Jestem na miejscu. Dzwonię, żebyś wiedziała, że samolot nie zgubił silnika, ani nie rozpadł się powietrzu. Jean - Guy... tak, tak... mieszkanie jest w porządku. Jean - Guy... nie, dobrze, oczywiście, obiecuje. Jean - Guy mieszka niedaleko stąd, w hotelu, więc, słucham? CO mówiłaś?

- Co słyszeć u Claire? - spytała mama.

- O rety, mamó, muszę pędzić. Nie wiedziałam, że jest tak późno. O piątej mamy próbę, więc... wiem, wiem, że to dziwne, ale ta scena też jest dziwna, ma trochę stromą rampę i ... Oczywiście, że będę uważać! Zresztą jeszcze do ciebie zadzwonię! Ucałuj tatę, pa!

Czułam się podle, ale nie miałam innego wyjścia. W jakiś czas później doszłam do wniosku, że chyba popełniłam błąd. Gdyby tak z Claire stało się naprawdę coś strasznego... W końcu była nie tylko moją siostrą, ale również córką mamy, zapewne znacznie bliższą jej niż mnie. Pocieszyłam się jednak, że po co miałabym niepokoić mamę, skoro zapewne nic się nie stało.

Nie spieszyłam się. Scena miała istotnie dość stromą rampę, ale wszyscy zdążyliśmy się do tego przyzwyczaić. Nie musieliśmy odbywać żadnych dodatkowych prób, byłam wolna jak ptak.

Postanowiłam zdobyć się zatem na odwagę i pójść na kawę na Pole Elizejskie.

Kiedy szłam po schodach na dół, pani Dastauge odrzuciła mnie ciekawskim spojrzeniem. Pomachałam jej ręką i uśmiechnęłam się przyjaźnie, ale ona nie odpowiedziała

uśmiechem. Jej napięta twarz mogłaby nie tak groźnego eksperymentu i rozpadłaby się na kawałki.

Wychodząc, w padłam niemal na młodego mężczyznę, który stał właśnie przy domofonie (jak się później okazało dzwonił do mieszkania Claire).

- Przepraszam - powiedziałam i przypomniałam sobie od razy, że jestem w Paryżu. -
Excusez moi - dodałam.

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

- Ty chyba jesteś siostrą - bliźniaczką Claire - powiedział.

ROZDZIAŁ 4

Owszem.

Zatrzymałam się i odwróciłam. Ten chłopak znał Claire! Był w wieku Jean - Guy, czyli też miał mniej więcej dwadzieścia dwa lata, szopę jasnych włosów, piegi na nosie, szeroko rozstawione szaroniebieskie oczy ukryte częściowo za zupełnie nieodpowiednimi okularami w rogowej oprawie. Uznałam okulary za nieodpowiednie, gdyż chłopak wyglądał tak rześko i zdrowo, jakby wszystkie weekendy spędził na świeżym powietrzu - szalejąc z piłką na boisku lub zażywając rozkoszy żeglowania. Okulary w rogowych oprawach natomiast dodają powagi i kojarzą się zawsze z typem intelektualisty. No, przynajmniej ja tak je kojarzę. Poza tym akurat te okulary były wyjątkowo duże i ześlizgiwały się chłopakowi z dość krótkiego perkatego nosa.

- Mam na imię Vicky - powiedziałam.

- Wiem. Claire sporo mi o tobie opowiadała. - Uśmiechnął się nieśmiało i poprawił okulary. - A ja Tracey.

Mówił z lekko obcym akcentem. Kanadyjczyk? Amerykanin? Nie byłam pewna.

- Nie wiesz, gdzie ona jest, prawda?

- Nie - odparł z wyraźnie zmartwioną miną. - Liczyłem na to, że ty mi powiesz.

- Niestety. Miałam u niej mieszkać. Sądziłam, że będzie w domu. A po przyjeździe znalazłam liścik, w którym Claire napisała, że musi zmienić plany. Nie wyjaśniła, dokąd się wybiera ani kiedy wraca. Nie wiem nawet, kiedy wyjechała.

- W niedzielę na pewno jej tu nie było. To wiem na pewno. W niedzielę. Dzień przed moim przyjazdem.

- Telefonowałem, ale ona nie odpowiadała. Przyszedłem więc tutaj i rozmawiałem z dozorczynią.

- Z panią Dastugue. To właśnie ona dała mi liścik Claire. Ale pani Dastugue powtarzała tylko, że nic nie wie i tylko łypie na mnie sod oka.

- To fakt. Ona jest naprawdę niemą. Bez pięćdziesięciu franków w ogóle nie otworzyła ust. Zerknęłam na kamienicę.

- Sądzisz, że ona coś wie? To znaczy, gdybyśmy dali jej pieniądze...

- Nie, nie - przerwał. - Nie w tym wypadku. Już próbowałem. Po prostu.... Zaczynam się trochę martwić.

- Ja też. - Aż do tej chwili wcale nie byłam pewna, czy rzeczywiście się martwię. Teraz jednak, gdy zaczęłam rozważać ten problem, doszłam do wniosku, że mam powody do

niepokoju.

- Może napijemy się kawy? Oczywiście jeśli się nigdzie nie spieszysz - dodał, poprawiając okulary.

- Zostało mi przynajmniej pół godziny.

- W takim razie dokąd pójdziemy?

Zaproponowałam jakąś kafejkę w pobliżu teatru. Tracey nie wiedział, o jakim teatrze mówię. Nie wiedział również, czym się zajmuję, co znaczyło, że Claire nie opowiadała mu znowu tak wiele. Wcale mnie to zresztą nie zaskoczyło. Claire nigdy nie przepadała za baletem. Trochę się nawet zdziwiłam, że w ogóle o mnie wspomniała. Ostatnim tematem, jaki poruszałabym z atrakcyjnym facetem, byłaby siostra - bliźniaczka.

Gdy ujedliśmy wreszcie pod parasolami na Polach Elizejskich, zwierzyłam się Tracey'emu ze swoich wątpliwości.

- Wolałabyś nie być bliźniaczką? - spytał.

To odkrycie najwyraźniej sprawiło mu przykrość. Ludzie często w ten sposób reagują. Wolą myśleć, że bliźniaki dzielą te same uczucia: radość, ból, smutek. Niektórzy nawet uważają że łączy je jakaś telepatyczna więź. Zapewne w wielu przypadkach ta się rzeczywiście zdarza, ale Claire na razie nie przekazywała mi zdalnie żadnych informacji. Mogła się znajdować dosłownie w każdym miejscu na ziemi.

- Sądzę, że byłoby dla nas lepiej, gdybyśmy byli zwykłymi siostrami. Wyglądamy wprawdzie tak samo, ale to nie znaczy, że jesteśmy identyczne. Stanowimy przecież dwie odrębne istoty ludzkie.

- Tak, rzeczywiście. To może być faktycznie irytujące - przyznał Tracey, po czym zamówił dwie czarne kawy, nie konsultując ze mną swego wyboru.

- Widzisz? Ty też zakładasz, że lubię taką kawę jak Claire! - powiedziałam z irytacją w głosie.

- Och! - Klepnął się dłonią w czoło. - bardzo mi przykro. Powonieniem był zapytać. Pozwól, że...

- Nic się nie stało - przerwałam Tracey'emu. Tak się składa, że rzeczywiście pije czarną.

Była to jedna z tych irytujących anomalii. Mimo że Claire i ja tak bardzo się od siebie różniłyśmy, to jednak podobały nam się te same ubrania i lubiłyśmy te same potrawy. Próbowaliśmy zresztą zmienić swój gust, ale na geny nie ma rady.

- Jako dzieci nie mogłyśmy na siebie patrzeć - powiedziałam. - Snułyśmy nawet plany zbrodni. Raz wlałam dok z mlecza do kakao Claire, sądząc, że może ją w ten sposób otruje.

Innym razem ona wepchnęła mi rękę do maszynki do mięsa. Chciałam ją za to zabić. Walnęłam ją w głowę drewnianą łyżką. Mama mówi, że czuła się tak, jakby mieszkała pod jednym dachem z dwoma psychopatkami. Ale teraz już jest lepiej - powiedziałam, gdyż Tracey patrzył na mnie z mieszanką przerażenia i fascynacji. - Nawet się lubimy. Nie mogłam się doczekać tego spotkania.

- Właśnie. Ona też. - Tarcey skinął ze zrozumieniem głową.

- Tym trudniej mi to wszystko zrozumieć. Claire na ogół nie postępuje impulsywnie. -
I nie wystawia przyjaciół do wiatru?

Oblałam się rumieńcem. Było mi wstyd za jej zachowanie.

- Oczywiście, że nie. Jean - Guy mówi, że ludzie robią czasem dziwne rzeczy, ale...

- Kto to jest Jean - Guy?

Ach tak Claire nie wspomniała o nim ani słowem! Wszystko się zgadzało. Nigdy nie była z nim tak blisko jak ja. Myślałam że ogólnie nie ma zbyt wysokiego mniemania o tancerzach. Sądzicie, że są zniewieściali i zupełnie nieodpowiedzialni.

- Jean - Guy Fontenille - wyjaśniłam, ale to oczywiście nic mu nie mówiło. Przeciętny mężczyzna mógł co najwyżej słyszeć o Nizańskim. Nie miał jednak pojęcia o istnieniu Nurejewa, Barysznikowa, Erika Bruhna, Rolada petit czy Jean - Guy Fontenille'a.

- Jean - Guy to stary przyjaciel rodziny - powiedziałam. - Nasze mamy tańczyły w tym samym zespole. Teraz Jean - Guy jest pierwszym tancerzem w „Barbicanie”

Choć oczekiwałam typowo męskiej reakcji: lekko uniesiony brwi i skrzywionych warg. Tracey nie wydawał się poruszony.

- To twój zespół? Jesteś baleriną?

- Nie, dopiero dwa miesiące temu zaczęłam pracę. Nie tańczę partii solowych.

- Już niedługo zaczniesz - powiedział z przekonaniem.

Było to bardzo miłe z jego strony. Odniosła wrażenie, że Tracey jest w gruncie rzeczy nieśmiały, co bardzo mi się podobało. Rzadko przebywałam w towarzystwie takich ludzi. Miła odmiana.

- Jak długo znasz Claire? - spytałam.

- Niezbyt długo. Dwa tygodnie, czy coś koło tego Ale... - zaczerwienił się lekko -
wszystko tak dobrze się nam układało. Albo przynajmniej ja tak sądziłem.

- Jak się poznaliście? - Płonęłam z ciekawości i byłam chyba trochę zazdrosna. Jakim cudem moja rozsądna siostra i która nigdy nie rozumiała moich tęsknot i uczuć zdołała poznać tak atrakcyjnego chłopaka? Tracey nic mógł się wprawdzie poszczycić egzotyczną urodą Jean - Guy ani taką giętką sylwetką - przeciwnie, był raczej krępy i mocno umięśniony,

zupełnie nie w moim typie - ale mimo wszystko poczułam lekkie ukłucie zawiści. Wszystko przez to, że stykam się bez przerwy z niezbyt uprzejmymi, zarozumiałymi ludźmi teatru.

Każdy choć odrobinę niepewny siebie robi na mnie piorunujące wrażenie.

- Poznaliśmy się - przerwał na chwilę i uśmiechnął się przepraszająco, jakby zamierzał mi wyznać jakąś wstydliwą tajemnicę w kawiarni.

- Ach tak! - Nie mogłam się powstrzymać od tego okrzyku. - Po prostu ją poderwałeś? - Oczywiście powiedziałam to żartem, ale Traccy wyraźnie się stropił.

- Ależ skąd! Claire siedziała sama przy stoliku, wszystkie inne były zajęte, więc zapytałem, czy mogę usiąść. Pozwoliła i zaczęliśmy rozmawiać.

Po prostu zaczęli rozmawiać?! Paryż rzeczywiście dziwnie działał na ludzi!

- Zaprosiłem ją parę razy do klubu nocnego, w sobotę też się widzieliśmy. No wiesz, jak to zwykle...

Umówiliśmy się na niedzielę, ale kiedy przyszedłem, nie zastałem Claire w domu. Na początku myślałem, że po prostu wystawiła mnie do wiatru...

- Claire nigdy by czegoś takiego nie zrobiła! - Trzeba zawsze oddawać ludziom sprawiedliwość. Claire to osoba, na której można w stu procentach polegać. Skoro umówiła się na spotkanie, na pewno by się na nic stawiała. Tak przynajmniej sądziłam.

- Nie pokłóciliście się przypadkiem?

- Nie padło między nami żadne ostrzejsze słowo. Dlatego nie mogłem tego zrozumieć. Ja również nie. Całe to zachowanie kompletnie nie pasowa do Claire.

- Nawet jeśli z jakiegoś powodu uznała, że nie chce się już z tobą spotykać, to by ci to po prostu powiedziała. Nie stosowałaby żadnych uników.

- Ja też tak sadzę. Claire to bardzo... bezpośrednia osoba wiesz?

Skinęłam głową. Traccy miał rację. Claire była prostolinijna i bezpośrednia. Żadnych matactw i głupot.

- Muszę już iść, bo mamy dziś premierę i nie mogę się spóźnić. - powiedziałam. Chciałabym jednak jeszcze z tobą porozmawiać.

Był przystojny, ale nic tym się kierowałam. Najbardziej liczył się dla mnie fakt, że Tracey zna Claire.

- Może spotkamy się po przedstawieniu? - zaproponował nie tyle może nieśmiało, ile niezbyt pewnie.

W przeciwieństwie do Jean - Guy Traccy nie był chyba przyzwyczajony do kobiet, które skwapliwie przyjmują każdą jego propozycję.

- Dobrze, po przedstawieniu. A może byś przyszedł na premierę? - spytałam pod

wpływem impulsu.

Jean - Guy dostawał zawsze kilka bezpłatnych biletów. Spodziewałam się że nie będzie miał nic przeciwko temu. by zaproponować jeden z nich znajomemu Claire.

- Z przyjemnością ale niestety pracuję na wcześniejszą zmianę. - Wyjaśnił, że jest zatrudniony w amerykańskim banku jako informatyk. Wcześniejsza zmiana oznaczała pracę od szóstej do północy.

- Ale mogę wyjść o wpół do dwunastej. Kolega mnie zastąpi. - Znowu uśmiechnął się nieśmiało i trochę łobuzersko - To zaleta tej pracy. Nikt nas nie pilnuje.

- I chodzisz na wagary. Ja robiłam to samo. W końcu mieli mnie tak dosyć, że zrezygnowałam z dalszej nauki i poszłam do szkoły baletowej.

- Ja bardzo rzadko wykorzystuję sytuację. Ale czasem, gdy nic się nie dzieje... Chyba nie ma w tym nic złego.

- Pewnie, że nie. Poza tym naprawdę musimy pogadać - zgodziłam się skwapliwie. - To wszystko jest tak zupełnie niepodobne do Claire.

- W takim razie do zobaczenia przed teatrem. O wpół do dwunastej? Świetnie.

- Może mógłbym cię zaprosić na kolację? Będziesz miała ochotę na jedzenie tuż po przedstawieniu ? - Po występie zawsze mam apetyt - zapewniłam go szczerze.

W garderobie zjawiłam się ostatnia. Wszystkie dziewczyny przygotowywały się już do występu: zakładały kostiumy, czesały włosy, robiły makijaż.

- Jesteś wreszcie! - wykrzyknęła Suzie, tak, jakbym się zgubiła i nagle w cudowny sposób odnalazła. - Jean - Guy pytał, czy ktoś cię przypadkiem nie widział. - Biedaczysko - zakpiła Marcia. - Myślał, że dopadł cię ten Rzeźnik. - I nikt nie wiedział, co się z tobą stało dodała Suzie.

- Wpadłam na chwilę do mieszkania sprawdzić, czy Claire przypadkiem nie wróciła. - No i co?

Pokręciłam głową.

- Nic, ale za to natknęłam się przypadkiem na jej znajomego. Umówiłam się z nim na kolację po spektaklu.

- Coś takiego! - wykrzyknęła Marcia. - Nie tracisz czasu! Mogłabyś napisać podręcznik o tym, jak odbić siostrze chłopaka.

- Ależ ja go wcale nie chcę odbić! - Cisnęłam w Marcię papierkiem po czekoladce. - Próbuję tylko ustalić, co się stało z Claire.

Cała garderoba wiedziała o tajemniczym zniknięciu mojej siostry. Wszystkie koleżanki były przekonane, że Claire nawiązała burzliwy romans z jakimś - bardzo możliwe,

że żonatym mężczyzną i uciekła. Kiedy żartowałam w towarzystwie Jean - Guy na temat Ingmara i Hermana, absolutnie w to nie wierzyłam. A teraz?, kiedy poznałam Tracey'ego utwierdziłam się tylko w przekonaniu, że miałam racje. Gdyby bowiem przyszło mi wybieg chłopaka dla mojej siostry, zostałby nim niewątpliwie Tracey - przystojny, ale nie rzucający się w oczy, raczej zamknięty w sobie (Claire nie znosi ekstrawertyków, stąd jej pogardliwy stosunek do ludzi teatru, których uważa wręcz ja krzykaczy), posiadający rozsądne, stałe zajęcie. Mogłam ich sobie z łatwością wyobrazić jako parę. Ale Claire w szponach żonatego mężczyzny? Nie, to zupełnie nie mieściło mi się w głowie.

Biegając na rozgrzewkę, wpadłam na Jean - Guy.

- Gdzie byłaś? - spytał.

- Pojechałam do mieszkania. Chciałam jeszcze raz przeczytać liścik Claire. Ale go nie znalazłam, chociaż mówiłeś, że leży na stole.

Potem opowiedziałam o Traceym i o tym, że wybieram się z nim na kolację po spektaklu. Sądziłam, że Jean - Guy - zwolniony w ten sposób z opieki nade mną - będzie bardzo zadowolony. Nie mogłam uwierzyć, by ktoś z jego pozycją marzył wyłącznie o tym, by niańczyć stażystki. Tym bardziej takie, które zna od pieluch. Niezbyt to romantyczne.

Ku memu wielkiemu zdumieniu Jean - Guy nie tylko nie był zadowolony, ale wręcz wpadł we wściekłość. („Niezrównoważony” - już niemal słyszałam komentarz Claire). To kolejne oskarżenie, jakie moja siostra stawia tancerzom. Wszyscy jesteśmy neurotykami, krzykaczami, mamy nadmiernie wybujałe ego i jesteśmy niezrównoważeni).

- Jak to zabiera cię na kolację? Przecież, ty widziałaś tego faceta po raz pierwszy w życiu! Nic o nim nie wiesz. Zjawiał się nagle na progu, twierdzi, że zna Claire...

- Ależ on naprawdę ją zna. Wiedział poza tym, kim jestem...

- No i co z tego?

- Claire musiała mu powiedzieć, że spodziewa się odwiedzin siostry - bliźniaczki. Na mój widok Tracey od razu wykrzyknął:

„Ty jesteś na pewno siostrą Claire”.

- Też mi argument. - Jean - Guy obrzucił mnie wzgardliwym spojrzeniem.

- Naprawdę nie widzę problemu powiedziałam. - Tracey to chłopak Claire i basta.

- Wice na pewno się nie obrazi, jeśli będę ci towarzyszył. - Wiedziałam, że Jean - Guy spełnia jedynie swój obowiązek. Gdyby nie szaleniec grasujący po ulicach, fakt, że będę jadła kolację z Traceym obchodziłby go tyle, co zeszłoroczny śnieg.

W innych okolicznościach byłby zadowolony, że wreszcie się mnie pozbędzie.

A mimo wszystko poczułam przyspieszone bicie serca.

ROZDZIAŁ 5

Na premierze tańczyliśmy *Giselle*. *Giselle* to jeden z moich ulubionych baletów. A już szczególnie z Jean - Guy w roli Albrechta. (Gdyby ktoś posądzał mnie jednak o stronniczość, zacytuj opinię znanego paryskiego krytyka: *L'Albrecht de Jean - Guy Fontenille etait tout simplement superbe* - zdanie, zrozumiałe chyba dla wszystkich, nawet tych, którzy nie znają francuskiego. Uwielbiałam oglądać jego popis w drugim akcie. Jest to „biały akt”, w którym Giselle staje się jedną z willid, czyli, według Jean - Guy, przystępuje do bandy zwariowanych feministek polujących na mężczyzn. Jeśli interesuje was moje zdanie, to wszyscy ci mężczyźni zasłużyli sobie dokładnie na taki los.

Feministki dopadają Albrechta, ale niestety ta głupia gęś Giselle ratuje mu życie (ja nigdy bym czegoś podobnego nie zrobiła), dzięki czemu Jean - Guy ma okazję do dziękczynnych podskoków i piruetów, choć jednocześnie sugeruje widowni, że jeszcze chwila, a zaraz padnie z wycieńczenia. Fantastyczny numer!

Albrecht to dwulicowy drań. Żał mi natomiast Hilanona (drwala), który kochał się w Giselle na długo przed Albrechtem.! Nie potrafię wybaczyć Giselle, że decyduje się ratować właśnie tego, a nie innego faceta. Hilarion ginie bowiem z ręki willid.

Co do Jean - Guy - cóż, choć nadal myślę, że nie postąpił fair wobec Tracey'ego, to i tak wzruszył mnie swoją postawą.

Zresztą życie w ogóle nie bywa fair i nikogo nie rozpieszcza. Na przykład Tracey musiał nosić okulary, a jego cera z bliska, w wieczornym świetle nosiła ślady blizn po trądziku.

Nie muszę chyba dodawać, że Jean - Guy nigdy nie cierpiał z powodu tak prozaicznych dolegliwości.

Nigdy me musiał nosić okularów, nawet do prowadzenia samochodu. Jean - Guy ma wszystko, czego mu prawdopodobnie trzeba do życia - zdrowie, bogactwo, wygląd, talent. Czegóż jeszcze potrzeba?

Mógłby zdobyć w zasadzie każdą kobietę, o jakiej by tylko zamarzył (gdyby w ogóle marzył o kobietach). I na pewno nie wrywałby sobie włosów z głowy z powodu jakiegoś zakończony romansu.

Jean - Guy oczywiście postawił na swoim - poszedł ze mną na spotkanie i nawet za mnie zapłacił.

Tracey'emu natomiast chodziło o serdeczną rozmowę z kimś, kto potrafiłby mu współczuć. I był nie tylko nieśmiały, ale - jak mi się wydawało - zupełnie niepewny siebie.

Sądził nawet, że może zrobił lub powiedział coś, co odstraszyło Claire.

Ja wysłuchałabym cierpliwie wszystkich jego obaw, mrużąc coś uspokajająco. Jean - Guy natomiast uznał te podejrzenia za śmieszne i absurdalne.

- Niby dlaczego to twoje zachowanie miałooby ją zmusić do wyjazdu? No, chyba że masz jakieś dziwaczne nawyki, o których nam nie wspomniałeś...

Tracey zaczerwienił się tak mocno, że niemal zrobiło mi się go żal. Poprawił zsuwające się okulary.

- Nie mam żadnych... dziwacznych nawyków.

- Więc dlaczego przypisujesz, sobie winę?

Jean - Guy chyba nie rozumie, że są na świecie ludzie, którym nieobca jest cecha zwana skromnością.

Tego typu zachowanie drażni go i irytuje jednocześnie. I nie chodzi o to, że Jean - Guy jest szczególnie zarozumiały czy dumny - jako artysta bywa nawet pokorny - ale zdaje sobie sprawę z siły swego uroku osobistego, a w każdym razie uznaje go za oczywisty.

Tracey natomiast potrzebował wsparcia. Najwyraźniej nie miał o sobie zbyt wysokiego mniemania, choć taki zwyczajny, niewymuszony wdzięk może działać na kobiety różnie skutecznie jak porażający urok, który nagle zwała z nóg. Tracey jednak widocznie nie zdawaj sobie z tego sprawy.

Siedząc tam na wprost niego, widząc, jak marszczy brwi poczułam nagłą chęć, by stanąć po jego stronie.

- Ta cała sprawa jest naprawdę niepokojąca - powiedziałam, patrząc z wyrzutem na Jean - Guy. - Dokąd ona mogła wyjechać?

- Dlaczego miałabyś się tym martwić? - Jean - Guy wzruszył przesadnie ramionami. - Przecież Claire nie jest dzieckiem. Może robić, co chce. A poza tym zostawiła ci list.

- Tak, ale nie mogę go znaleźć.

- Ale dlaczego właściwie w ogóle go szukasz? Przecież już go czytałaś?

- Chciałabym mu się przyjrzeć jeszcze raz. Zobaczyć, czy są w nim jakieś wskazówki. Sprawdzić, czy to naprawdę Claire jest jego autorką.

Jean - Guy cmoknął niecierpliwie.

- Widzisz, to właśnie mnie martwi. - Tracey wychylił się do przodu i poprawił okulary. - Nie chcę nikogo denerwować, ale z drugiej strony... wiem, że prześladował ją pewien facet.

- Prześladował? - powtórzyłam wolno. - W jaki sposób?

- Nic wiem dokładnie jak, ale Claire miała go dosyć. Kiedyś mi powiedziała, że woli

się wynieść z mieszkania, bo on bez przerwy ją nachodzi. Nic chciała już nigdy więcej zostać z nim sam na sam.

- Był agresywny? - spytałam.

Tracey pokręcił głową.

- Nie mówiła. Ale nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

- Wiesz, kim on jest?

- Nie podała nazwiska. Znała go jednak dość długo.

- Skąd ten wniosek?

- No cóż... - Tracey zdjął okulary i zaczął wycierać je chusteczką. - Jemu się wydawało, że może tak sobie przychodzić i wychodzić, kiedy chce. Tak, jakby Claire była jego własnością. Wiem to od Claire.

No więc chyba pozostawała z nim w bardzo intymnych stosunkach...

Kolejna zagadka. Z kim Claire mogła nawiązać aż tak bliskie stosunki? Przecież mieszkała w Paryżu dopiero od ośmiu miesięcy. A przez osiem miesięcy to raczej ja mogłabym się do kogoś zbliżyć.

Ja, ale nic Claire, która nawet nie wspomniała o niczym w listach do domu. Temu jednak akurat zupełnie się nie dziwiłam.

- Typowa sprzeczka kochanków - mruknął Jean - Guy.

- Między nimi już nic nie było odparł Tracey. - Tego jestem pewien.

- Jeśli interesuje was moje zdanie, to robimy igły ze stogu siana.

- Raczej z igły widły - sprostowałam z uśmiechem. - Jean - Guy mylą się czasem idiomy, co mi się zresztą bardzo podoba. Staje się wtedy bardziej zwyczajny i ludzki.

- Jak wolisz.

Tracey skończył przecierać okulary i poprawił je na nosie.

- Sądzisz, że niepotrzebnie się tak przejmuję?

- Stwierdzam tylko, że nie ma jej dopiero od dwóch dni.

- Od trzech! - sprostował szybko Tracey.

- Dobrze, od trzech. Nie ma jej od trzech dni. Zostawiła całkiem sensowną wiadomość i zupełnie nic rozumiem, dlaczego nie miałyby się wybrać na wycieczkę po Francji.

- Akurat tego dnia. kiedy umówiła się z Traceym?

- Pewnie zapomniała. Ktoś nagle powiedział: Może byśmy tak wyskoczyli do Szwajcarii na weekend? I już. Wyjechała. Ludzie czasem postępują w ten sposób. Aż byś się zdziwiła. Pewnie jutro z samego rana dostaniesz pocztówkę z Lucerny.

Popatrzyłam na Tracey'ego, który wtulił głowę w ramiona, jakby właśnie otrzymał

mocny cios.

Jeśli rzeczywiście tak się stanie, natychmiast do ciebie zadzwonię - obiecałam.

- Naprawdę? Masz mój numer telefonu? Chyba nie. Pozwól że ci podam. - Wręczył mi wizytówkę z napisem Transamencan Bant. Na kartoniku nie widniało wprawdzie jego nazwisko, ale był chyba na to zbyt młody. (Często muszę sobie przypominać, że w przypadku innych, sensownych zawodów obowiązują zupełnie inne prawa. Natomiast, będąc baletnicą w wieku lat dwudziestu pięciu jesteś uznawana za osobę w średnim wieku, a po trzydziestce za staruszkę). Tracey dopisał więc na dole: Tracey van den Hul i dodał numer wewnętrzny 212.

- A tu jest mój telefon domowy, na wypadek gdybyś chciała ze mną skontaktować w ciągu dnia.

- Ale jeśli ty się czegoś dowiesz, to też natychmiast się odezwij, dobrze?

- Oczywiście. - Poprawił okulary. - w takim razie wezwę teraz taksówkę i odwiezę was do domu.

Propozycja Tracey ego bardzo przypadła mi do gustu, ale Jean - Guy nie był zachwycony. Odparł gburowata, że sami damy sobie radę. Tracey poczerwieniał jak burak, a mnie zrobiło się wstyd za Jean - Guy.

- Nie musiałeś traktować go jak śmiecia powiedziałam gdy odjeżdżaliśmy taksówką.

- To neurastenik.

- Tylko dlatego, że martwi się o Claire?

- Jeśli rzeczywiście widzi powody do niepokoju, dlaczego nie pójdzie na policję?

Zamilkłam na chwilę.

- A może my powinniśmy to zrobić? - spytałam w końcu.

- I co im powiedzieć? Że prawie osiemnastoletnia dziewczyna wystawiła swojego chłopaka do wiatru i nie raczyła wyjaśnić, dokąd się wybiera? Za to nie można nikogo ukarać. Jak sądzisz, jak oni zareagują? Co zrobią?

Nic. O tym byłam przekonana. Powiedzieliby na pewno, że nie ma powodu do w. Trudno uznać za zaginioną osobę, która wyjechała z własnej woli (zakładając, że Claire postąpiła właśnie w ten sposób), o czym byłam na razie przekonana.

- A co z tym mężczyzną, który ją ponoć prześladował?

- Dziewczyny lubią opowiadać takie dyrdymały. Ty też się kiedyś skarżyłaś na jakiegoś biedaka, a on chciał cię pewnie po prostu wyciągnąć na dyskotekę. Ciocia Liz musiała mu nakłamać, że wyjechałaś do Chin.

- On się nazywał Jimmy Blackmore i był zupełnie nienormalny.

- Nazwałaś go natrętną muchą.

- Nic rozumiał słowa „nie”.

- Wokół pełno jest mężczyzn. Co nic znaczy, że wszyscy są zboczonymi wariatami. Większość to żałośni natręci.

A cóż on mógł w ogóle wiedzieć na ten temat? Czy ktoś mu kiedykolwiek odmówił?

Następnego dnia Tracey zadzwonił do mnie do teatru.

- Udało mi się coś ustalić - powiedział. - Rozmawiałem z dozorczynią i wypytałem ją dokładnie o tego faceta, z którym Claire nie chciała mieć nic wspólnego.

- Mhm - mruknęłam zachęcająco w słuchawkę.

- Spytałem panią Daslugue, czy wie, kto to może być. Ten facet podobno często się tam kręcił. Ona nigdy mu się dokładnie nie przyjrzała, ale to podobno wysoki brunet. W dodatku otwierał drzwi własnym kluczem, którego nie powinien był mieć.

- Naprawdę miał klucz?

Zupełnie mi się to wszystko nie podobało. Dlaczego Claire miałaby komukolwiek poza mną dawać jakieś klucze? Nagle doszłam do wniosku, że być może wcale nic znam mojej siostry tak dobrze, jak mi się wydawało.

- To pewnie za mało, żeby do czegoś dojść - zasmucił Tracey.

W przypadku gdyby próba ustalenia tożsamości owego jegomościa nie przyniosła efektów, informacja nic miała w ogóle żadnego znaczenia. I wtedy przyszła mi do głowy straszna myśl. Policja nic wiedziała, jak wyglądał Rzeźnik. A kobiety, które widziały mordercę na własne oczy nie żyły.

- W jaki sposób udało ci się zmusić panią Dastugeu do mówienia?

- Ja... no cóż. dałem jej w łapę. - O tym procederze pisała Claire.

- Pięćdziesiąt franków?

- Dokładnie.

Zaczęłam się zastanawiać, czego udałoby się nam dowiedzieć za pięćset.

- Skoro już rozmawiamy... - Tracey zająknął się nagle - Wybieram się dzisiaj na wasz występ.

- Naprawdę? Udało ci się zdobyć bilet?

- Miałem szczęście. Były zwroty.

- Może ci się spodoba.

- Wolę to, niż siedzieć w domu i myśleć o Claire.

- A tym się właśnie zajmujesz?

- Nic na to nie poradzę. Przez cały czas się zastanawiam gdzie ona jest, czy nic się jej nie stało... - Urwał. - Zjemy później razem kolację? Wprawdzie o północy mam dyżur, ale

mogę zawsze wskrobać przynajmniej pół godzinki.

Umówiłam się z nim przy wejściu za kulisy. Cóż innego mogłam zrobić? Zresztą - jak tłumaczyłam to Jean - Guy - był to chłopak Claire i miał prawo się martwić. Będąc jej siostrą bliźniaczką, czułam się niemal w obowiązku pomóc mu.

- Czy ty jesteś dozorcą siostry? Powiedz mu, że ja już zarezerwowałam dla nas stół. Ale jeśli chce się wszędzie z nami włączyć, proszę bardzo.

Byłam całkowicie rozdarła między feministyczną niechęcią do męskiego terroru i czysto nie feministycznym pragnieniem, by robić to, co mi się każe. Po chwili krótkiej wewnętrznej walki całkowicie się poddałam. Do takich poświęceń byłam gotowa jedynie dla Jean - Guy.

Tego wieczoru tańczyliśmy *Coppelię*. Jest to historia Swanhildy, która przyłapuje chłopaka, Franza, na flircie z piękną dziewczyną przesiadującą na balkonie domu stanowiącego własność niejakiego doktora Coppeliusa. Ona i jej przyjaciółki włamują się do środka w poszukiwaniu dziewczyny, po to by stwierdzić, że jest to tylko lalka. Franz flirtował z lalką. Ale numer!

Coppelia to lekki balet, zupełnie inny niż *Giselle* i, szczerze mówiąc, nigdy bym się nie spodziewała, że Jean - Guy sprawdzi się tak znakomicie w roli Franza. Zawsze postrzegałam Franza jako kogoś otwartego, szczerego - chłopca z sąsiedztwa podobnego do Tracey'ego, tyle że bez okularów. Jean - Guy jest natomiast ponurym brunetem o egzotycznym typie urody. A mimo wszystko przedstawienie udało się znakomicie: miałam nadzieję, że Tracey'emu również się podobało i choć na chwilę oderwało jego myśli od Claire.

Chyba nie był zbyt uszczęśliwiony faktem, że ma się „za nami włączyć”. Po ostatnim wieczorze trudno mi było mieć do niego o to pretensje. Tym razem jednak Jean - Guy był w dobrym nastroju, współczuł Tracey'emu i próbował go uspokoić, twierdząc, że „Paryż wyczynia z ludźmi naprawdę dziwne rzeczy”. Radził mu również, by siedział spokojnie i czekał na powrót Claire. - A wtedy możesz zażądać wyjaśnień. Już ja bym wiedział, co robić, gdyby to była moja dziewczyna! Tracey wciąż mocno zatroskany, wrócił do swoich komputerów, a Jean - Guy i ja pojechaliśmy taksówką do Ncuilly. Jean - Guy wszedł za mną do mieszkania i oparł się niedbale o framugę. - Victorio... - powiedział nagle cicho.

Nigdy me nazywaj mnie Victorią. To imię brzmiało dość, w jego ustach. Równie dziwnie na mnie patrzył, jakby ważył coś ważył myślach... czy też próbował podjąć decyzję. - Tak? - spytałam, siląc się na pogodny ton.

Zrobił krok do przodu, oparł mi ręce na ramionach. Popatrzył z namysłem w oczy.

Nigdy dotąd nie odnosiłam wrażenie że Jean - Guy może się okazać niebezpieczny. Pomyślałam, że gdy już będzie za stary na Zygryda, okaże się cudownym Rothbartem.

- Vicky... - Przesunął mi dłońmi po szyi. Poczułam dziwne mrowienie wzdłuż kręgosłupa. I wcale nie byłam pewna, czy sprawiło mi to przyjemność.

- Co takiego? - spytałam.

- Nic. Wszystko w porządku. Jakoś to będzie. - Cofnął gwałtownie ręce, otworzył drzwi i zbiegł ze schodów. Na podeście odwrócił się gwałtownie.

- Załóż łańcuch! - krzyknął.

Zrobiłam co kazał, i zaczęłam się zastanawiać, co też właściwie chciał powiedzieć lub zrobić. Nigdy dotąd nie czułam się tak niezręcznie w jego towarzystwie. Dopiero gdy kładłam się już do łóżka, przypomniałam sobie nagle, że me wspomniałam mu o kluczu, który Claire dała ponoć jakiemuś brunetowi. Wciąż jeszcze, mimo łańcucha na drzwiach sprawa owego nieszczęsnego klucza budziła we mnie niepokój.

Zadzwoiłam do Jean - Guy do hotelu, ale oczywiście nie zastałam go w pokoju. Zupełnie zapomniałam o jego typowo francuskim zwyczaju spędzania nocy w restauracjach. Może nie było to zresztą francuskie, tylko baletowe przyzwyczajenia.

Szeregowe baletnice wracają po prostu do domu po przedstawieniu i kładą się do łóżka. Nie muszą odreagowywać stresu po solowym występie, nie muszą myśleć przez pół nocy o tym, co działo się na scenie, powtarzać w myślach każdego kroku rozpamiętywać po kolei wszystkich szczegółów występu, które mogły wypaść znacznie lepiej.

Sprawdziłam czy drzwi balkonowe są na pewno zamknięte, jeszcze raz uważnie przyjrzałam się łańcuchowi i zasnęłam. Pół nocy spędziłam, śniąc o wysoki postawnych brunetach, skradających się po schodach z nożem w rękach. Wszystko to nie zniechęcało do odpoczynku.

Następnego wieczoru, ktoś przyniósł mi do garderoby egzemplarz „France Soi”. I właśnie wtedy zobaczyłam nagłówek, który sprawił, że krew zastygła mi w żyłach.

KOLEJNY ATAK RZEŹNIKA.